

Wstąpiłeś w mit

Rozmowa T. Dras z W. Panasem

Teresa Dras: Co poetę tak mocno związało z Lublinem, że napisał o nim „Poemat o mieście Lublinie”, jeden z najpiękniejszych w polskiej literaturze?

Władysław Panas: -Skąd ten związek z miastem? Przecież nikt nie ma obowiązku pisania o swoim mieście. Więc to nie poczucie jakiegoś obowiązku. Coś innego. W pewnym momencie Czechowicz powiedział wprost, że jest mu potrzebne to odwoływanie się do ulic miasta, bo kontroluje jego wyobraźnię. Nawet jeśli wprowadza rozmaite cudowności i złoćności, „nieśpiewną muzyczność”, to musi jednak mocno trzymać się konkretności, jakiegoś realnego kryterium, żeby nie odlecieć za daleko. Taka była potrzeba jego wyobraźni. A jednocześnie, Czechowicz pisał o tym w esejach – w swoim pojmowaniu sztuki był bliski surrealizmowi. Miał wyobraźnię wizyjną, odrealniającą, odkształcającą. Jak zatem pracuje wyobraźnia? U Czechowicza – jak balon na uwięzi. Pewnie dlatego ten Lublin i Lubelszczyzna. Konkret. Biegun. To go trzymało przy życiu.

W esejach i książkach lubi Pan powoływać się na myśl Emmanuela Levinasa „o intrydze Nieskończonego”, czyli: pod pozornie chaotycznym rysunkiem zawsze kryje się jakiś celowy zamysł. Czy w narodzinach poety można już dostrzec kształt jego przyszłego losu?

Sam poeta zadbał, abyśmy dużo wiedzieli o jego narodzinach. Pewne rzeczy musiały być dla niego ważne, skoro je skrupulatnie powypisywał w notatkach. Urodził się 15 marca 1903 r. o godz. 9.30 przy ul. Kapucyńskiej 3/8, a chrzczony był 19 marca o godz. 19. To od razu wyjaśnia, dlaczego dostał na imię Józef. Na ogół dawano imię w związku z dniem urodzin, a jemu -z dniem chrztu. Uroczystość odbyła się na Józefa w katedrze lubelskiej. Nawet ksiądz udzielający sakramentu miał na imię Józef. Czechowicz sam dokładnie zlokalizował postacie i miejsca tej uroczystości. Z jego zapisków wiemy, że był chrzczony przy starej chrzcielnicy, która znajduje się w katedrze. Tu wyłania się dodatkowa historia, nowa opowieść, ponieważ sama chrzcielnica jest czymś wyjątkowym. Pochodzi z XIII – XIV w. i przypuszczalnie jest najstarszym ruchomym zabytkiem w Lublinie. Na to nakłada się inny krąg symboliczny, też ważny dla Czechowicza, gdyż ta chrzcielnica pochodzi z nieistniejącego kościoła św. Michała, czyli z fary, z pustego miejsca, z „niewidzialnego kościoła” – jak pisał poeta. Zniknął kościół i zniknął dom, w którym urodził się poeta. Prawdopodobnie Czechowicza zabiła ta sama seria bomb, która 9 września 1939 r. spadła na jego rodzinną kamienicę.

Dopóki, głosem Pana Profesora, nie przemówiły symbole, życiorys Czechowicza wydawał się dość skromny. 36-letnie życie z reguły nie jest spełnione. W przypadku Czechowicza jedynie *amor fati* konsekwentnie się zrealizowało...

Ale młody człowiek zdążył być redaktorem naczelnym Kuriera, pani kolega! Kiedy pojawiła się w Lublinie kolejna mutacja pisma pt. *Kurier Lubelski*, jego pierwszym szefem został właśnie Józef Czechowicz. Od stycznia 1932 r. jako naczelny wydał 129 numerów gazety. Sam sporo pisał, prowadził kolumnę literacką. Nie wszystkie teksty zostały rozpoznane, ponieważ Czechowicz posługiwał się różnymi pseudonimami np. Jerzy Archer. Jako poeta i tłumacz występował także pod pseudonimem Henryk Zasławski. W tym wypadku nie szło o zwykłą literacką praktykę – to sprawa głębsza, wprost magiczna. Problem sobowtóra. Jak się zmieni nazwisko, jak się weźmie rezerwowe imię, to demon nie będzie wiedział, z kim ma do czynienia. Znają tę magię różne ludy, zna kabała żydowska. Jednemu z przyjaciół Czechowicz powiedział: „Biorę to imię po to, żeby uniknąć losu”. Zło, które przydarzy się Józefowi, nie dotknie Henryka i odwrotnie. To operacja magiczna, rodzaj wielkiej gry. Wybieg, który daje człowiekowi możliwość działania na paru poziomach rzeczywistości, gdyż imię nie jest tylko administracyjnym znakiem człowieka, ale sięga głębokiej istoty. W jednoznacznie autobiograficznych fragmentach prozy pojawiają się bardzo różne mistyfikacje, np. takie, w których Czechowicz występuje jako książę. Zresztą wątek królewski, wątek korony idzie przez całą jego poezję.

A urodził się w nędznej suterenie. W eseju pt. „...miejsce mojego urodzenia będą zwiedzali” Pan Profesor wykazuje, że nieistniejące dziś mieszkanie Czechowiczów znajdowało się dokładnie pod podłogą stoiska z galanterią skórzaną w dzisiejszej Galerii Centrum. Poeta pisał dla dzieci beztroskie wierszyki. Nie miał kompleksów na tle biednego dzieciństwa?

To ktoś, kto wyrósł z samej ziemi, z jej wnętrza, z głębokich trzewi. Był – jak mówią antropologowie – istotą chłoniczną, która z ziemią ma ścisły związek. Czechowicz bezpośrednio odnosił siebie do postaci Anteusza – tego, który nabiera siły po dotknięciu Matki Ziemi. I stąd lot ku sławie, o którym pisał, pęd ku światłu. W takiej suterenie mógł łatwo wyrosnąć jakiś proletariacki twórca, ktoś, kto ma żal. U Czechowicza są śladowe znaki takiej postawy, pisał wprawdzie, że „dzieciństwo złe szczenię”, ale to nie jest jego główny motyw. Natomiast w typie wyobraźni, w ogólnym obrazie jego poezji trwoga się przechowała: „Stanąłem na ziemi w Lublinie, tutaj mnie skrzydłem uderzyła trwoga”. Mówił też: „To nie koncepcje szukają scenicznej oprawy, to samo miejsce wyprowadza na jaw dzieje, postacie, wzloty, upadki.”

Bez żadnego zaplecza intelektualnego, przy matce analfabecie, wychował się pisarz tak czysty, tak wyrafinowany. Jakim cudem?

Artysta, mówiąc za Levinasem, zawsze jest Inny i Obcy. Normą jesteśmy my wszyscy – nieartyści. Jak to się dzieje, że z sutereny wychodzi artysta? Tu nie żadnych reguł. Może coś się w tym mechanizmie, który produkuje przeciętność, zacięło? Artysta nigdy nie jest „na miejscu”. Czechowiczowska wyobraźnia jest wyraźnie nacechowana przestrzenią, w której żył. Jestem

semiotykiem, więc wiem, że przestrzenie znaczą. To wyobraźnia człowieka z podziemia, z Hadesu. To mitologia schodzenia w dół, do piekła. Bo przecież w tej klaustrofobicznej suterenie trzeba było mieszkać z psychicznie chorym ojcem i w przejmującej nędzy.

Czy naprawdę mówimy o kimś, kto pisał: „Na wieży furgotał blaszany kogucik. Na drugiej – zegar nucił”?

Mówimy o kimś nieznanym, chociaż miewamy poczucie, że przecież znamy go dobrze. Że jest taki łatwy w czytaniu, że niezbyt ciekawy. Orzeciono, że to wielki poeta, więc niech sobie będzie wielki, tym bardziej, że to swojak.

Miejsce urodzenia to dopiero początek „intrygi Nieskończonego”. Co było dalej?

Jako 17-latek Czechowicz na ochotnika wziął udział w wojnie polsko – bolszewickiej. Prowadził wtedy dzienniczek i stąd wiemy, że w takich okolicznościach czytał „Tako rzecze Zaratustra” Nietzschego. W dzienniku jest inny motyw, który mi się ogromnie podoba. Pod Zamościem polska armia spotkała się z Kozakami Budionnego i wtedy, chociaż nie oko w oko, spotkało się dwóch pisarzy – Józef Czechowicz i Izaak Babel, który był w słynnej konarmii. Mały figiel losu – polski poeta i jeden z najlepszych rosyjskich prozaików szli sobie zabić. Babel też był ochotnikiem, a w dodatku musiał ukrywać, że jest Żydem, bo Kozacy nie bardzo lubili Semitów. Obaj twórcy później opisali wojnę. Rosjanin zrobił z tego wybitną, bardzo piękną prozę, za co zresztą dostał od rewolucji kulkę w głowę. Czechowiczowi wyszło znacznie gorzej. Ale kilka z tych wojennych opowiadań jest niezłych. Dużej formy powieściowej – o czym marzył – jednak nigdy nie zrealizował.

A co wiadomo o miłościach Czechowicza?

Z językiem miłości też nie było u niego najlepiej. Pośrednio można wywnioskować, że miał jakieś niedobre doświadczenie z kobietą. Jego lubelscy przyjaciele opowiadali, chyba trochę trywializując problem, że Czechowiczowi bardzo podobała się kelnerka z kawiarni Chmielewskiego, taka senna Izolda. I że zaraził się „francuską chorobą”. Napisał o tym nawet wiersz. Po wojnie pojechał daleko na Kresy, do Słobódki, uczyć w szkole. Tam też coś się stało. Nagle, ni stąd ni zowąd przerwał pracę. Podobno była nawet próba samobójstwa. Albo z powodu chłopca, albo z powodu kobiety, może z obu przyczyn naraz. Dziś pewnie już się tego nie dowiemy. „Nie żałuj, wstąpiłeś w mit”, pisze gdzieś Czechowicz. Coś za coś. I niech tak zostanie.

Podróżował?

Najwięcej w wyobraźni. Ale był też na stypendium we Francji, więc otarł się o Europę. Mówimy o człowieku niezamożnym, który w dodatku zwykł dzielić się tym, co miał. Patronował młodym poetom, karmił ich, pomagała materialnie i w sprawach literackich. Nie miał formalnego wyższego wykształcenia, lecz znał kilka języków. Tłumaczył Eliota i Joyce’a, dobrze orientował się w najnowszej, światowej literaturze. Mało kto w ówczesnej Polsce podzielał jego zainteresowania akurat tymi autorami. Był jednym z argonautów, jak napisał Herbert.

Prawda o Czechowiczu wciąż nam umyka?

My go widzimy zbyt prosto: trochę sielanki, trochę katastrofy. Tymczasem to jest ktoś z ogromnymi komplikacjami. Wielki mag, mityzator. W percepcji jego twórczości występuje pewien zadziwiający fenomen. Z jednej strony panuje powszechna zgoda, o którą nigdy przecież nie jest łatwo, że Czechowicz to wielkość, a napisano o nim do tej pory jedną jedyną książkę. Tą swoją śpiewnością, muzycznością, ludowością, tą prowincjonalnością jego poezja może mylić. Jednych przyciągać, innych odpychać. Głęboko odczytał te strofy Herbert. I dał cenną uwagę, że Czechowicz walczył na krańcach rzeczywistości, tej, którą da się pojąć i zapisać. To świat przeczuć, omamów, półsnu, kiedy rzeczy nie mają jeszcze wyraźnych kształtów. W tym nasz poeta jest najprawdziwszy.

Wróćmy do – jak Pan Profesor mawia – szaleństwa prawidłowości, do symboliki. Jest miejsce urodzenia poety i zarazem go nie ma. Tak?

Miejsce nie przesunęło się ani o milimetr, ale nie mamy tam wstępu. Jesteśmy blisko, jakieś 3 metry nad suteroną, a dotknąć niczego nie możemy. Z realności rodzi się metafizyka. Ta opozycja – blisko i nieskończenie daleko – wręcz modelowo symbolizuje naszą niemożność dotarcia do tajemnicy życia i twórczości poety. Z jednej strony szkoda, że nie ma pamiątki, że nie ma gdzie położyć róży w rocznicę urodzin, ale z drugiej strony coś zyskujemy. Oto Czechowicz wchodzi w sferę mityczną, albowiem jak antyczni herosi, jak bohaterowie legend, i on również nie ma oznakowanego miejsca urodzenia. Podobnie jest z Mickiewiczem, nie wiadomo, czy przyszedł na świat w Zaosiu czy w Nowogródku. Są badacze, którzy wskazują na kilkanaście innych miejsc. Właściwie prawdziwy artysta nigdy nie jest umiejscowiony w materialnej rzeczywistości. I tak jest dobrze.